

Moja walka z rakiem

(74)

20 czerwca 2020

Rano, po wczorajszych burzach i wyładowania atmosferycznych, są zamglenia. Noc jednak jakoś przespałem. Obudziłem się o 5.00, gdy zaczął się w pokoju jakiś ruch. To mój sąsiad, który miał wczoraj operację z powodu kamieni nerkowych, wrócił na salę ze swoim łóżkiem. Od razu zajął się swoją komórką. Rozmawiał najpierw z rodziną, potem załatwiał jakieś sprawy związane z prowadzonym przez niego biznesem, wydawał polecenia, pytał o pewne sprawy i dawał wyjaśnienia. Wygląda na człowieka bardzo energicznego. Jak się później od niego dowiedziałem, ma 2 „niewielkie” restauracje i stąd konieczność takich rozmów nawet w szpitalu. Zupełnie go rozumiem i dodaję na koniec, że pańskie oko konia tuczy.

Powoli zaczyna się szpitalny nowy dzień. Przychodzą pielęgniarki, aby coś wykonać: zmierzyć temperaturę, poziom cukru we krwi czy ciśnienie. Podczas porannej wizyty rutynowe pytania w rodzaju np. jak się pan czuje? Odpowiadam zawsze grzecznie, że dobrze czy wszystko jest OK. Następnie salowe rozwożą śniadanie. Dziękuję, ale śniadania nie biorę. Boję się podobnego zdarzenia, jakie miałem z czwartku na piątek. Wlewają mi do kubka też herbatę, ale znów ją wyleję za jakiś czas do zlewu, niestety. Kiedy opróżnią mi worek z krwimoczem i zapiszą w karcie, zjeżdżam windą do sklepu. Oczywiście zakładając maseczkę. Bez maseczki można być tylko na sali. Kupuję wodę mineralną także na jutro. Lekarz zalecił mi podczas wizyty, aby pić dużo wody, przynajmniej 2 litry dziennie. Jedna butelka to za mało – powiedział. Kupiłem więc 3. Od mojego sąsiada z Biłgoraja, dostanę jeszcze jedną, gdy lekarz, ordynator, pozwoli mu opuścić szpital. Po dokumenty ma przyjechać w poniedziałek. Oprócz tego kupuję 2 jabłka, które zjem już w sali i które smakują mi, o dziwo, jak jakiś rarytas. To moje dzisiejsze śniadanie. Nic mi tu w szpitalu nie smakuje, choć jestem naprawdę mało wybredny. Na obiad zjem tylko pół talerza gotowanej marchewki. Na resztę jedzenia tylko spojrzalem, nic więcej. Przez jakiś czas wydaje mi się, że ustąpiło lumbago i jestem z niego już wyleczony, bo nie odczuwam dolegliwości. Prawdy jednak się dowiem, gdy wrócę do domu i gdy przestaną działać środki przeciwbólowe, którymi faszerują mnie przy pomocy kroplówek.

Dużo tu, w szpitalu, rozmyślam o mojej przeszłości, o popełnionych błędach i młodzieńczej niefrasobliwości. Niestety. Widzę to wszystko jak na filmie i bardzo wielu rzeczy żałuję. To taki mój szpitalny rachunek sumienia. Późno, lecz – jak mówią o nauce – nigdy nie za późno.

Mocz, który wydostaje się z pęcherza jest coraz czystszy, bez tych pooperacyjnych

farfocli, inaczej niż było w październiku ubiegłego roku, ale i tamta operacja był poważniejsza, poprzedzona kilkumiesięczną chemioterapią.

Mimo że głoduję, nie straciłem zbyt wiele na wadze, pewnie to zasługa dużej ilości wypitej wody mineralnej i kroplówek. Może dlatego nie mam apetytu i nie chodzę głodny? Na pewno coś jest na rzeczy, podobnie zresztą jak po chemioterapii.

Dziś piękny dzień, mimo że Rzeszów pokrywały ranne mgły. Potem się jednak wypogodziło, słońce nie przypiekało, ale było ciepło i przyjemnie.

21 czerwca 2020

Dzisiejsza noc z soboty na niedzielę, była wyjątkowo ciężka. Nie mogłem się wypróżnić. Dyżurny lekarz, przebudzony o godzinie 22.00 przez pielęgniarkę, wyszedł z pokoju i powiedział, że na noc nie robią lewatywy. Takie są procedury. Co jakiś czas musiałem więc biegać do toalety z przytroczonym workiem z krwimoczem i tam bezskutecznie stękać. Potem dostałem kroplówkę, która pomogła mi wyjść z dolegliwości gastrycznych, ale wypróżnić się dalej nie mogłem. Pofolgowало mi dopiero godzinę po północy i zdołałem zasnąć. Spałem do godziny 5.00. Gdy opróżniono mi worek na mocz, zorientowałem się, że mam zablokowany cewnik. Pielęgniarka powiedziała, że to dlatego, że piję mało wody, co oczywiście było nieprawdą. A cewnik może tylko wymienić lekarz. Patrzę co chwilę, ale mocz z pęcherza nadal nie spływa. O 7.00 decyduję się zapytać, kto odblokuje mi cewnik? Cemu pan o tym nie powiedział lekarzowi, gdy chodził po salach – odburknęła pielęgniarka. – Lekarza na oczy nie widziałem – mówię. Może byłem wtedy w łazience, bo co chwilę tam biegam. – W końcu idę do pokoju lekarzy i pukam do drzwi. Wychodzi z nich lekarz dyżurny. Mówię o zablokowaniu cewnika. Proszę pójść pod pokój zabiegowy, zaraz tam będę! Przychodzi za chwilę i wymienia mi cewnik, potem poleca pielęgniarkę zrobić mi lewatywę. Ból ustępuje. Mocz zlatuje do worka. Za chwilę czuję się tak, jakbym na nowo się narodził.

Pogoda jest dziś piękna, choć przez telefon ostrzegają przed gwałtownymi ulewami, burzami, gradobiciem, a nawet podtopieniami. A tak niedawno modliliśmy się w kościołach o deszcz. Gdy czuję się już lepiej, spaceruję po pokoju z przytroczonym do kieszeni workiem na mocz i obserwuję drzewa i ptaki latające wokół. Z okna jest też widok na wzgórze otaczające Rzeszów. Rozmyślam i filozofuję. Choroba daje możliwość, aby poznać wielkość i małość człowieka. Kiedy siedziałem na sedesie i nie mogłem się wypróżnić, przypominałem małe skulone zwierzątko. Tak, dokładnie. A kiedy bóle ustępowały znów stawałem się człowiekiem. Fizjologia schodziła na bok i zaczynały się głębokie refleksje nad życiem.

Niebo było cały dzień zachmurzone, ale pod wieczór się rozpogodziło. Ustąpiły mgły. Panuje jakiś dziwny błogi spokój. Siedzę i

piszę. Co jakiś czas podchodzę do okna, by spojrzeć na drzewa rosnące wokół szpitala, na latające ptaki i odległe wzgórze, otaczające miasto.

22 czerwca 2020

Przygotowuję się od rana do powrotu do domu. Pakuję swoje rzeczy do torby, idę, a właściwie jadę windą do magazynu po spodnie, koszulę i buty. Mam wszystko. Jestem w o wiele lepszej kondycji niż w październiku ubiegłego roku, gdy musiano mi robić lewatywy, żebym mógł w ogóle opuścić szpital. Gdyby mnie wtedy nie zabrał samochodem pan Andrzej i jego córka, to nie wiem, jak bym dotarł do domu. Było naprawdę źle. Wszystko mam wyłożone na łóżku, bym czegoś nie zapomniał. Dostałem też na własne życzenie od pielęgniarek majtkopieluchę. Ale chcę ją założyć dopiero przed odjazdem. Bo przecież może być różnie. A jak przyjdzie czekać na busa? Sekretariat nie może mi wydać dokumentów, bo nie ma lekarza, jest na operacji. Mam czekać, a także inni, tacy jak ja, aż będzie wolny i wszystko wypełni i podpisze. Salowa zagląda co jakiś czas i pyta, czy może już zmienić pościel dla następnego pacjenta. Mówię, że około 13.00 na pewno się wyniosę. Wszystko mam spakowane, ale nie dostałem jeszcze dokumentów. Przed 13.00 zachodzę do sekretariatu. Papiery już są. Teraz muszę podpisać ich odbiór. Idę do pielęgniarek, aby zdjęły mi wenflon. Niestety, podczas wyciągania krew zaczyna tryskać i pielęgniarka nakłada mi opatrunek oraz każe mocno przyciskać. I poczekać 5 min, aby się upewnić, czy krew została zatamowana. Teraz mogę kontynuować przebieganie, by założyć majtkopieluchę. Udaje się. Dziękuję pielęgniarkom za opiekę, mówię do widzenia, opuszczam oddział. Jest 15 min. po 13.00. Dobrze byłoby sobie skrócić drogę do busa i dojechać do centrum autobusem miejskim. Pytam portiera w bramie, skąd najłatwiej będzie mi dojechać. Radzą iść na przystanek obok starego cmentarza. To jest jakieś 100 m od szpitala. Za minutę mam autobus. Skrócić drogę o 2 przystanki, to wcale nie mała, tym bardziej że jestem obciążony torbami. Wszystko idzie po mojej myśli. Na dworcu będę o 13.45, a za piętnaście minut miał bus do Stalowej Woli. A o 15.30 – jak dobrze pójdzie – będę w domu. Wreszcie, po tygodniowym pobycie w szpitalu. Boże, co za ulga!

cdn.

Miroslaw Osowski

